

# Zmierzch nad wschodnim wybrzeżem

*"It's better to burn out  
than the fade away"*  
*Neil Young*

## Prolog

Brighton było małym miasteczkiem, położonym niewiele ponad sto mil na południe od Nowego Jorku. Założone kilkadziesiąt lat temu, nie różniło się zbyt wiele od wszystkich innych powojennych osad. Kosztem wielu pracowitych miesięcy, jego założyciele wzniesli dwadzieścia parę niewielkich domów, posterunek szeryfa który pełnił także funkcje sędziego i urzędnika stanu cywilnego jeśli zaszła taka potrzeba. Dwa bary, w których można było coś zjeść i wypić a z czasem nawet posłuchać muzyki. Co prawda tylko czasami bo sygnał z Nowego Jorku nie zawsze docierał ale była to przynajmniej jakaś odmiana. Mieścina dorobiła się nawet szpitala, o ile takim mianem można było określić rozwalający się budynek, w którym miejscowy konował nastawiał złamane kończyny i sprzedawał po zatrważająco wysokich cenach przedwojenne leki.

To było właściwie wszystko na co mogła liczyć osoba, która nieszczęśliwym przypadkiem trafiła do tego pozbawionego nadziei na lepsze jutro miasta. Problemy osady także nie były odmienne od tych które trapiły resztę ocalałego świata. Gangersi, brak wody pitnej i zdanej do spożycia żywności, no i oczywiście nuda, wszechobecna i wysysająca wszystkie pozostałe siły vitalne nuda. Gdyby ktoś spytał przeciętnego mieszkańca co najbardziej daje mu się we znaki z pewnością odparłby, że nuda jest najgorsza. Wodę i żywność zawsze można gdzieś znaleźć. No może nie zawsze ale przeważnie przywykłym do pustynnego otoczenia osadnikom to się udawało. Przed gangersami można było się jakoś bronić. Zresztą szczerze mówiąc przeciętny człowiek z Brighton, co prawda kłął przy kwaśnym piwie na uciążliwe i niebezpieczne gangi motocyklowe ale w duchu zazdrościł im. Zazdrościł im wolności i swobody z jaką żyli i z jaką umierali. Jedynym nierozwiązanym problemem pozostawał nadmiar czasu z którym coś trzeba było robić. Przed wojną były książki, radio, telewizja, komputery i wiele innych atrakcji. Teraz pozostawało tylko radio i to nadające ciągle te same przeboje.

Życie toczyło się nieznośnie wolno. Mieszkańcy tysięcy osiedli wiedli szary żywot w niemal identycznych warunkach. Pojedyncze, wskrzeszane z pogorzeliśk metropolie takie jak Nowy Jork oczywiście zapewniały znacznie więcej atrakcji ale tam też nie było różowo. Oczywiście nie każdy narzekał, byli i tacy którym wiodło się całkiem nieźle i jakoś sobie radzili. Niektórzy, szczególnie młodzi wyjeżdżali do Nowego Jorku czy innych dużych miast. Ale jako że wszystkie pozostałe były cholernie daleko to zwykle właśnie tam. Właściwie to prawie nigdy nie wracali więc trudno powiedzieć co się z nimi działo. O takim czymś jak patriotyzm lokalny nikt tutaj nie słyszał i o ile mógł to czym prędzej wynosił się z tej zapadłej dziury. Naprawdę nieliczni z pośród tych, którym się powiodło, przyjeżdżali zdezelowanym wozem, stawiali kolejkę piwa w barze, zabierali rodzinę i odjeżdżali zostawiając za sobą tumany kurzu.

## I

Było późne piątkowe popołudnie. Żar lał się niemiłosiernie z nieba a na dodatek brak było jakichkolwiek podmuchów wiatru. Gdyby główną drogą przejechał samochód minęłaby chyba godzina zanim wzbity przez niego kurz opadłby na spieczoną ziemię. Gdyby wówczas ktoś miał

w domu klimatyzator albo chociaż mały wiatraczek bez wątpienia okrzyknięto by go największym szczęściarzem... O ile ktoś doprowadziłby do jego domu prąd... Niestety nikt w mieście nie miał ani jednego, ani drugiego. Jeff nie stanowił wyjątku. Miał 23 lata i samotnie mieszkał naprzeciw „Ostoi”, jednego z dwóch marnych barów w miasteczku i to w dodatku tego, którego nazwa była zupełnie nieadekwatna do rzeczywistości. Osoby które nazbyt rzuciły się w oczy a z kolei niezbyt dobrze radziły sobie z bronią palną czy choćby poręczną gazurką miałyby duże problemy z opuszczeniem „Ostoi” o własnych siłach. Chociaż dla miejscowych może i rzeczywiście było to miejsce wypoczynku...

Jeff często z niego korzystał odkąd jego rodzice zginęli od kul jakiegoś psychopaty, który niewiele później sam sobie strzelił w łeb. Odeszli gdy miał 16 lat. Przez jakiś czas opiekowała się nim ciotka, a gdy się usamodzielniał co nastąpiło zadziwiająco szybko zostawiła go samego. Nie zmartwiło go to bynajmniej bo choć chłopak generalnie lubił towarzystwo, to zrzedliwej krewnej miał serdecznie dość już po dwóch miesiącach spędzonych pod jednym dachem. Sam radził sobie bardzo dobrze, był mechanikiem i miał do tego dryg. Wszystkiego nauczył się właściwie sam. Tylko podstawy objaśnił mu jeszcze za życia ojciec, wszystkie inne tajemnice silników i innych urządzeń odkrył sam podczas licznych godzin spędzonych w kiepsko wyposażonym warsztacie. Ze względu na swój zawód cieszył się wielkim szacunkiem mieszkańców. Tak już jest na świecie, że wszystkie urządzenia kiedyś się psują a w powojennych warunkach dzieje się szczególnie szybko. Jeśli jesteś jedynym gościem w miasteczku, który potrafi je naprawić to ludzie mają cię za boga. A może i kogoś więcej. Jednak mimo powszechnego szacunku jakim się cieszył i w miarę spokojnego życia Jeff najchętniej opuściłby miasto. Marzyło mu się, że będzie niczym Renegat przemierzał szerokie, choć teraz strasznie dziurawe autostrady na lśniącym Harleyu. Nie miał jednak Harleya i najprawdopodobniej nigdy go mieć nie będzie. Marzenie odłożył więc na bok i przez kilka podobnych do siebie lat ciężko pracował na swoje utrzymanie. Zwykle wykonywał drobne naprawy w zamian za potrzebne mu produkty: żywność, wodę, ubrania i wiele innych niezbędnych do życia wyrobów ludzkich rąk. Dziś miał jednak wolne, sam był sobie panem i sam decydował kiedy robi sobie przerwę w pracy. A tego dnia postanowił, że takiej przerwy potrzebuje. Już gdy się obudził było gorąco a wraz z upływem czasu upał stawał się nie do zniesienia. Na samą myśl o robocie tracił wszystkie siły a co dopiero gdy rzeczywiście musiałby się za nią wziąć. Siedział w domu od rana i tylko raz poszedł do baru po kilka butelek piwa.

Robiło się właśnie ciemno gdy kończył ostatnie. Nad wschodnim wybrzeżem zapadał zmrok. Z domowej roboty radia tranzystorowego sączyła się wolna, ciężka muzyka grana przez jakiś zapomniany już dziś metalowy zespół a Jeff zastanawiał się ile jeszcze lat będzie musiał się męczyć na Ziemi zanim przyjdzie śmierć by ulżyć mu w cierpieniu jakim jest samotne, bezcelowe życie na zapomnianym przez świat zadupiu. Nie brał pod uwagę samobójstwa. Nie był wierzący ale odbieranie sobie życia budziło w nim odrazę i pogardę. Dla niego równało się to z całkowitą kapitulacją i ostateczną porażką. Gdyby naprawdę nie mógł już znieść życia zaciągnąłby się jako najemnik do grupy łowców mutantów i w boju znalazłby swoje przeznaczenie. Nie wiedział co czeka go po śmierci, przypuszczał, że nic ale przywiązywał ogromną wagę do sposobu w jaki opuszcza się świat. Taki już był i nawet on sam nie wiedział dlaczego jest to dla niego takie ważne. Przynajmniej wtedy tak jeszcze myślał.

Z ponurych myśli wybił go warkot silników i nerwowe krzyki jakichś ludzi. Na pewno nie miejscowych. Mechanik znał prawie wszystkich w mieście, co zresztą nie było szczególnie trudne, i był pewien, że to nie do nich należą te głosy. Zresztą skąd niby mieliby motory. Kim więc byli? Jeff zmusił się do wstania z łóżka. Odgarnął zakurzone zasłony i wyjrzał przez popękane tu i ówdzie okno. W świetle reflektorów ujrzał jak przed jego dom zajeżdżało właśnie

sześciu mężczyzn odzianych w skórzane, czarne kurtki i powycierane dżinsy. Gdy tylko zsiadli z pojazdów jeden z nich zrobił kilka niepewnych kroków i o mało nie upadł ale w porę dwóch barczystych motocyklistów go podtrzymało. Facet ledwie chodził o własnych siłach więc tych dwóch wzięło go pod ręce i skierowało się do niewielkiego budynku z niedbale namalowanym czerwony krzyżem. Oczywiście był to szpital ale sądząc po wyrazie twarzy rannego i po tym, że z klatki piersiowej obficie ciekła mu krew dla niego było i tak już za późno. Pozostali skierowali się do domu Jeffa i nim zdążył się zorientować byli już wewnątrz.

- Macie jakiegoś mechanika w tym pieprzonym mieście? - warknął jeden z nich. Jasne było, że dla wszystkich byłoby lepiej gdyby mechanik się znalazł. W przeciwnym razie niespodziewani „goście” mogliby się lekko zdenerwować.
- Ja nim jestem. A bo co? - odparł niedbale Jeff. Spokój z jakim to mówił zaskoczył nawet jego samego. Nie miał pojęcia dlaczego się tak zachowuje ale było mu wszystko jedno co się stanie. Później doszedł do wniosku, że to chyba była zasługa wypitych piw ale pewności nie miał.
- Mam do ciebie sprawę - podjął trochę zbity z tropu gangster - Jeden z motocykli nam nawala a na karku niedługo możemy mieć rangersów i nie chcemy żeby zrobił nam niespodziankę w nieodpowiednim momencie. Trzeba mu się przyglądać i to od razu. Nie mamy czasu
- Wprowadźcie go do garażu to zobaczą co da się zrobić

Mówiąc to wyszedł na zewnątrz a nieproszeni przybysze podążyli za nim. Otworzył szerokie, drewniane drzwi do garażu i gestem nakazał wprowadzenie uszkodzonej maszyny do środka. Zapalił kilka lamp naftowych, których blask wypełnił niewielki pomieszczenie. Oczom zebranych ukazał się typowy warsztat mechanika. Powietrze nasycone było wonią różnorodnych olejów i smarów. Po podłodze walały się śrubki i klucze rozmaitych wielkości i kształtów. Jeff jednak świetnie orientował się co gdzie można znaleźć i gdy tylko przyprobowano motocykl od razu zabrał się do pracy pogwizdując wesoło. Dwóch gangstersów, którzy zostali przy nim aby doglądać czy wszystko jest w porządku przyglądało mu się z ciekawością. Po chwili milczenia jeden z nich zapytał:

- I co? Wiesz co z nim nie tak?
- Chyba tak - odparł Jeff - to raczej nic poważnego, powinienem się z tym dość szybko uporać. Nie lubię jednak pracować w ciszy - kontynuował dziwiąc się lekko co skłania go do takiej śmiałości - Może więc któryś z was opowie mi co takiego się stało, że wam tak spieszno.
- Nie twój interes, nawet nie wiemy jak się nazywasz a mamy ci opowiadać o naszych sprawach
- Nie zamierzam o tym nikomu więcej mówić - odpowiedział wciąż zupełnie spokojnym głosem mechanik - a jeśli chodzi o imię to nazywam się Jeff
- Jack - odparł wysoki, brodaty mężczyzna który najwyraźniej wcale nie był taki niedostępny i gruboskórny na jakiego chciał wyglądać
- Ron - powiedział nieco niższy i z pewnością młodszy chłopak o inteligentnym choć trochę rozbieganym spojrzeniu - to był w sumie przypadek – podjął - nie twierdzą, że nigdy nie zrobiliśmy nic złego ale tym razem tak właśnie było. Urządziliśmy sobie krótki postój w małym miasteczku na wschód stąd. Jeden z naszych chłopaków wdał się w sprzeczkę z jakimś kolesiem w barze. Pech chciał, że gość należał do Rangersonów nagle wyciągnął broń. Nie wiem jak to się dokładnie stało ale po chwili wystrzelił chłopakowi w klatkę piersiową z

odległości kilku metrów. Nie muszę dodawać, że wkrótce wywiązała się strzelanina. Dwóch naszych zginęło a jeden jest ciężko ranny. Nie wiem czy przeżyje - gdy Ron to powiedział Jeff odniósł wrażenie, że oczy zalsniły mu jakby od łez, mechanik zdziwił się trochę ale po chwili stwierdził, że to musiało być przywidzenie. Gangers kontynuował opowieść - Jakimś cudem udało się nam zmylić pościg ale nie jestem wcale pewien czy znowu nie wpadli na nasz trop.

- Jak sam widzisz musisz się pospieszyć - przerwał Jack, który jednak nie do końca był pewien czy warto o wszystkim mówić. Przez dłuższą chwilę panowała cisza -
- Przykro mi z powodu waszych kumpli - powiedział wreszcie mechanik, a jego głos brzmiał jakby rzeczywiście tak było -
- Dzięki, ale nie ma już co do tego wracać. Teraz musimy jak najszybciej się stąd wynieść i dotrzeć do naszej siedziby - Po jego słowach ponownie zapadło milczenie, które przerwał ryk zapalnego silnika -
- No, gotowe - odparł Jeff gasząc silnik - teraz nie powinien już sprawiać kłopotu. Ale przydałby mu się też solidniejszy przegląd.
- Tak, z pewnością. Wielkie dzięki za pomoc.
- Nie ma sprawy. To była drobnostka.
- Skoro tak mówisz – Jack uśmiechnął się przekornie- Ale przydałby się nam ktoś taki w drużynie. Szczególnie teraz, gdy Bil nie żyje.

Gangers mówił to pewnie półzartem ale Jeffowi po raz pierwszy zaświtał w głowie pewien pomysł. Teraz jednak nie odezwał się ani słowem tylko wraz z nim udał się do szpitala, by sprawdzić co z rannym. Na zewnątrz było już dość zimno więc mechanik założył poplamioną jakąś mazią kurtkę która wisiała na haku. Wychodząc pogasił lampy i zamknął drzwi. Jacka i Rona dogonił tuż przy wejściu do mieszkania a zarazem i miejsca pracy tutejszego medyka. Wewnątrz było jasno i cicho. To był zły znak. Gdy weszli do budynku ujrzeli to czego bali się najbardziej. Na niewielkim stole na którym zwykle operowano leżał człowiek przykryty czarną folią. Obok, na niedbale pozbijanych krzesłach siedzieli dwaj mężczyźni. Jeden z nich ukrył twarz w dłoniach, drugi bezwiednie wpatrywał się w czarną folie na stole. Po przeciwnej stronie siedział lekarz z fartuchem zachłapanym krwią. Na widok wchodzących konował energicznie podniósł się z krzesła a jego oblicze zdradzało strach.

- Naprawdę nie mogłem nic zrobić - powiedział jakby chcąc uprzedzić wszelkie pytania, z trudem wyrzucał z siebie słowa, a jego głos drżał nerwowo - Kula przeszła mu płuco. Próbowałem, naprawdę.
- Nikt w to nie wątpi – rzucił sarkastycznie Jack podchodząc do ciała. Odchylił płachtę, która okrywała jego głowę, by po raz ostatni na nią popatrzeć - Żegnaj przyjacielu. Żegnaj na zawsze.

Lekarz widząc, że jednak nic mu nie grozi ze strony gangersów odetchnął z ulgą. Jeff znał go dobrze. Specjalistą był może i dobrym, jak na takie miasteczko to nawet bardzo dobrym ale był też cholernym tchórzem. Upewniwszy się, że nikt nie ma do niego pretensji chyłkiem wymknął się przez tylne drzwi. Wolał nie czekać aż ktoś zmieni zdanie co do jego winy bądź niewinności. Wiedział, że rzeczywiście nie mógł mu pomóc ale bał się, że kompani zmarłego mogą mieć inne zdanie. On sam nigdy nie nazywał tego tchórzostwem. Nazywał to przezornością. Może i miał rację...

Jego wyjścia nikt nawet nie zauważył choć w ciszy, która panowała w pomieszczeniu skrzypnięcie starych drzwi było słyhać bardzo wyraźnie. Ich uszy jednak jakby na chwilę

przestały pracować i nie zarejestrowały tego dźwięku. Jeff'a dziwiło trochę zachowanie gangstersów. On oczywiście czułby się tak samo ale słyszał już nie jedną historię o ich bezwzględności i teraz to wszystko jakoś nie trzymało się kupy. Jakiś czas temu pewien facet w barze opowiadał, że oni są jak maszyny do zabijania, a jeśli któryś z nich jest ciężko ranny to prędzej go dobiją niż pomogą. Albo facet kłamał w żywe oczy albo ci byli inni. Upłynęło jeszcze dobrych kilkanaście nieznośnej ciszy, nim ktoś ośmielił się ją przerwać.

- Czas już iść - rzekł Jack, jego głos zabrzmiał ponuro ale dość pewnie - Jeff, dopilnujesz pochówku? To dla mnie ważne.
- O pochówek nie musicie się martwić. Lekarz może nie jest wzorem odwagi ale sumiennie wykonuje swoją pracę, a w jej zakres wchodzi także grzebanie zmarłych. Jeśli jednak chcecie to mogę mu szepnąć parę słów aby zajął się tym niezwłocznie.
- Gdybyś mógł... Na imię miał Vince.
- Vince... - Jeff zamyślił się na chwilę - przekażę na pewno. Jedziecie już?
- Tak, wystarczająco długo tu zamieszaliśmy. Może się jeszcze zobaczymy.
- Może - odparł ponuro mechanik -

Po tych słowach Jeff wyszedł tymi samymi drzwiami co uprzednio lekarz. Znalazł go bez trudu w swoim pokoju. Przekazał prośbę Jacka a lekarz zgodził się od razu, dla pewności notując na niewielkiej karteczce ołówkiem imię zmarłego. Obiecał, że do jutra do wieczora będzie po wszystkim. Gdy mechanik szedł przez salę operacyjną usłyszał warkot motocykli. Tym razem myśl o ucieczce z miasta przeszła jego umysł jak błyskawica przesywa nocne niebo. To była ostatni szansa. Jeśli teraz nic nie zrobi to wkrótce zgnije w tym miasteczku. Kolejna myśl - za późno. Nie pozwolił jej przybrać na sile, wybiegł ze szpitala jak opętany. Droga skąpana była w czerwonym świetle tylnych lamp motocykli. Zdażył. Na odgłos jego pospiesznych kroków Jack odwrócił się tak jakby właśnie na niego czekał. Jeff chwile zbierał się w sobie. Był prawie pewny, że go wyśmieją. Przecież zupełnie go nie znają. On ich zresztą też nie. Nie wiedział jacy są i czy to w ogóle ma sens. W Brighton żyło mu się niezbyt przyjemnie ale przecież nie było aż tak źle... Co go czeka jeśli teraz odejdzie? Prawdziwe życie czy może śmierć. Nieważne, wszystko było lepsze od jego dotychczasowej egzystencji. W końcu się przemógł

- Jack! - zawołał podchodząc bliżej - mówiłeś, że przydałby się wam ktoś taki jak ja. To było na poważnie?
- Tak - odparł nie wiedząc dlaczego się zgadza, zwykle był nieufny, tym razem było zupełnie inaczej - Jak najbardziej poważnie. Ale zastanów się dobrze nim podejmiesz decyzję - Jeff nie zastanawiał się, decyzja już zapadła -
- Chciałbym pojechać z wami. Chcę być jednym z was, jeśli się na to zgodzicie - Jeff nie czekał długo na odpowiedź choć jemu wydawało się, że minęła wieczność nim cokolwiek usłyszał -
- Więc witaj wśród nas - odparli jednym głosem Ron i Jack. Reszta wyraziła milczącą zgodę - weź motocykl Vince'a, oby przyniósł ci więcej szczęścia niż jemu.
- Będę za pięć minut - odparł uradowany Jeff po czym pobiegł do domu

Zabrał tylko najpotrzebniejsze rzeczy i zaraz zbiegł z powrotem. Wiedział, że będzie jeszcze raz musiał tu przyjechać po narzędzia i parę innych przedmiotów ale to nie był właściwy czas na pakowanie. Nie czuł się tak podekscytowany od czasu gdy miał dwanaście lat i wspólnie z przyjacielem zakradali się do groty skalnej, gdzie znaleźli mocno podniszczonego ale wciąż sprawnego glocka. Pamiętał, że rodzice sprawili mu później niezłe lanie za to, że oddał się bez pozwolenia od domu i w dodatku bawił się bronią. Nie miało to jednak znaczenia i nigdy później

tego nie żałował. Teraz także nie myślał o konsekwencjach. Na refleksje miał jeszcze nadejść czas, teraz nadszedł czas na działanie a Jeff po raz pierwszy od wielu lat poczuł, że żyje. Nie minęło jeszcze pięć minut gdy odpalił stojący przed drzwiami do garażu motocykl Vince'a.

Jeff gdyby go ktoś spytał, powiedziałby, że od momentu gdy opuścili Brighton jechali jeszcze godzinę. Jednak równie dobrze mogło to być dwie godziny jak i pół. Po upalnym dniu nareszcie nadeszła noc, która przyniosła trochę ożywczego chłodu. Co prawda dalej powietrze było dziwnie gęste ale jadąc na motorze zupełnie się tego nie odczuwało. Mechanik nie pamiętał kiedy ostatnio opuszczał miasto. W każdym razie było to dość dawno temu. Teraz robił to z prawdziwą radością wiedząc, że już nic go z nim nie łączy. No może poza kilkoma rzeczami, po które niedługo wróci i niezbyt przyjemnymi wspomnieniami, które tym bardziej utwierdzały go w pewności, iż podjął słuszną decyzję. Wiedział, że nie będzie kolorowo ale nie zamierzał żałować tego co zrobił.

Po około 45 minutach skręcili w boczną drogę, choć właściwie tylko oni wiedzieli, że była to droga. Miejsce, gdzie należało opuścić główny szlak znaczył wysoki kaktus. Motocykliści szybko pokonali krótki odcinek drogi dzielący ich od celu. Trzeba było przyznać, że miejsce na kryjówkę wybrali bardzo dobre. Jeff już po kilku pierwszych skrętach pomiędzy wielkimi głazami stracił orientację w terenie i za jedyne drogowskaz służyły mu tylne lampy motocykli jego nowych kompanów. Gdy dotarli do dużej jaskini odstawili maszyny do niewielkiego pomieszczenia. Kiedy Rino zapalił pochodnie przytwierdzone do ścian grotu zobaczył, że jaskinia podzielona jest na kilka całkiem ładnie urządzonych pomieszczeń. Był prawie pewny, że była dziełem rąk ludzkich. Najprawdopodobniej służyła za niewielki schron lub posterunek wojskowy. Dziś już z pewnością zapomniany a przez to bezpieczny. Resztki senności znikły bez śladu gdy Jack wręczył mu zachowanego w niemal idealnym stanie czarnego Glocka. Jeff przypomniał sobie po raz kolejny swoją pierwszą wyprawę poza miasto. Tamten pistolet był w trochę gorszym stanie ale to nie zmieniało faktu, że podobieństwo było wyraźne. Energia rozpieła go dokładnie tak samo jak wtedy i najchętniej pojechałby przed siebie ciesząc się odzyskaną wolnością. Pozostali gangersi byli jednak wykończeni ciężkim i bardzo dla nich bolesnym dniem więc zaraz po powrocie pokładli się na swoje posłania by we śnie odzyskać utracone siły. Jeff nie widząc innego rozwiązania za ich przykładem postanowił się przespać. Dzielił pokój z Ronem i Johnnym. Dwoma najmłodszymi zarówno wiekiem jak i stażem gangersami. Gdy do niego wszedł obaj już chyba spali bo ich oddechy były spokojne i miarowe. Ułożył się więc cicho na posłaniu tak by nie przeszkadzać śpiącym kolegom. Nie zwracał uwagi na warunki w jakich przyszło mu nocować, i choć nie były komfortowe nie zamieniłby ich wówczas na żadne inne. Usnął w przekonaniu, iż to już koniec monotonii i szarości w jego życiu.

## II

Poranek następnego dnia był w przeciwieństwie do swojego poprzednika dość chłodny, co Jeff przyjął z radością. Obudził się jako pierwszy ale leżał jeszcze przez jakiś czas na posłaniu. Wodził tylko wzrokiem po pomieszczeniu, w którym się znajdował wciąż nie mogąc uwierzyć w to co się stało. Wydarzenia dnia wczorajszego wydawały mu się snem ale fakt, że znajdował się w jakiejś grocie a nie we własnym łóżku nie pozostawiał wątpliwości co do ich rzeczywistości. Jego nowi towarzysze spali jeszcze pochrapując lekko, więc i on nie chciał wstawać. Był tutaj nowy i nieco niezręcznie byłoby mu na własną rękę poznawać nowy dom. Wciąż nie mógł uwierzyć, że tak szybko zgodzili się go przyjąć do drużyny, przepuszczał, że skłoniła ich do tego śmierć przyjaciół a co za tym idzie niedobór ludzi oraz fakt, że potrzebowali

wprawnego mechanika.

Z drugiej strony ich wczorajsza postawa zdziwiła go już tak bardzo, iż nie mógł mieć całkowitej pewności. Po chwili przestał myśleć o przeszłości a zaczął spoglądać w przyszłość. Jak w ogóle będzie wyglądać teraz jego życie. Z czego utrzymywali się gangersi? Pewnie z napadów i rabunków. Czy prosty mechanik, który do tej pory niechętnie patrzył na ludzką krzywdę się w tym odnajdzie? Chciał wolności ale czy tak ona wygląda? Gdy był młody matka opowiadała mu przedwojenną historię o Robin Hoodzie, dobrym rozbójniku który zabierał bogatym a dawał biednym przy okazji zostawiając coś dla siebie i swoich kompanów. Czy oni byli jego współczesną odmianą? Raczej nie, a nawet jeśli tak to część, którą zostawiali dla siebie znacznie przewyższała tą którą rozdawali innym. Jego rozmyślenia przerwał wchodzący Jack.

- Już nie śpisz? - zagadnął - robię sobie śniadanie, jeśli nie masz nic przeciw temu to może zjadłbyś ze mną. Chciałbym z tobą pogadać. Dobrze by było wyjaśnić sobie parę spraw, bo w końcu ty nic o nas nie wiesz a zresztą my o tobie też nie za wiele.
- Bardzo chętnie - odparł mechanik podnosząc się lekko - sam miałem cię prosić o rozmowę ale skoro mnie uprzedziłeś to nawet lepiej. Poczekaj tylko aż wrzucę coś na siebie i zaraz będę gotowy.
- Nie musisz się śpieszyć - odparł z uśmiechem Jack patrząc jak jego nowy towarzysz w pośpiechu wkłada na siebie powycierane dżinsy - mamy dużo czasu. Czekam na ciebie w kuchni.
- A gdzie ona jest?
- To ten pokój obok - odparł z uśmiechem - później pokaże ci inne pomieszczenia żebyś już nie musiał pytać gdy czegoś będzie ci trzeba.

Po tych słowa przywódca gangersów zniknął za drzwiami sąsiedniego pomieszczenia, a Jeff już spokojniej dokończył ubieranie się i zaraz pospieszył za swoim rozmówcą. Wspomniana kuchnia w rzeczywistości była zwyczajnym pomieszczeniem mieszkalnym, niedbale przystosowanym do nowej funkcji. Zamiast lodówki znajdowała się tam głęboka jama gdzie przechowywano żywność. Pośrodku stał zniszczony stół i kilka taboretów. W miejscu gdzie powinien znajdować się piekarnik było niewielki palenisko które nawet przy dużej ilości dobrej woli trudno było nazwać grillem. Do wszystkiego da się jednak przyzwyczaić. Gdy mechanik wszedł do pomieszczenia Jack właśnie wyciągał coś z paleniska po czym długim nożem podzielił to na dwie części. Jedną z nich podał siadającemu do stołu kompanowi. Jeff z początku miał dziwne przeczucie, że jest to trochę zbyt wyrośnięty szczur ale gdy skosztował podaną potrawę stwierdził, że nawet jeśli tak jest to znaczy to tylko to, że szczury wbrew obiegowym opiniom są naprawdę smaczne.

- Co to jest? - spytał połykając właśnie pierwszy kęs - smakuje wspaniale
- Moja specjalność, ale o szczegóły nie pytaj - odparł z szelmowskim uśmiechem Jack –
- Cóż - zaczął, myśląc, że jednak dobrze, iż nie wie co dostał do zjedzenia – skoro tak twierdzisz. W takim razie opowiedz mi coś o twojej drużynie.
- Po to w końcu tutaj jesteśmy. Sprawa jest prosta. Jesteśmy zbieraniną ludzki, którzy nie mogli znaleźć sobie miejsca gdzie indziej. Wiecznie do czegoś tęsknili i czegoś szukali. Żyjemy z dnia na dzień. To co zdobędziemy czy to za pomocą sprytu czy przemocy jest nasze. Ale nie martw się, nie używamy jej więcej niż to konieczne i nie przeciw każdemu.
- Brzmi nieźle. Ale nie wiem czy będziecie mieli ze mnie wielki pożytek w zdobywaniu tych dóbr.
- Nie szkodzi, każdy z nas ma inne zdolności i jakoś się uzupełniamy. Ty też będziesz częścią

tej układanki. Ostatnie dni nie były dla nas szczęśliwe ale zgodnie z naszą maksymą smutki tamtych chwil pozostawiliśmy za sobą, choć o naszych kompanach nie zapomnimy trzeba żyć dalej. Na dodatek jesteśmy w trochę kiepskiej sytuacji materialnej. Przyszedł jednak czas by odbić się od dna i w najbliższym czasie przeprowadzić jakąś dużą akcję. Namierzyliśmy już nawet niewielką bazę handlarzy narkotyków. Jest położona nie tak daleko stąd i o dziwo nie aż tak dobrze strzeżona. Jeśli uda nam się przejąć ich towar to jesteśmy ustawieni na najbliższych kilka miesięcy. Z odbiorcami nie ma zwykle problemów choć drogie jest to cholerstwo strasznie. Myślę, że uderzymy za dwa lub trzy dni. Dziś trzeba zrobić dokładny zwiad i przygotować sprzęt. Potem zostaje tylko ułożyć plan działania i oczywiście go zrealizować. Chciałbym żebyś się zajął sprzętem najszybciej jak tylko się da a później wraz z Ronem sprawdzisz teren.

- Dobrze - przytaknął kiwając przy tym głową Jeff -
- Ron powie ci co dokładnie będziesz miał zrobić. Myślę, że dobrze będzie się wam współpracowało.

Jeff zaraz po skończeniu śniadania wziął się do pracy przy motocyklach. Było jednak znacznie lepiej niż się obawiał. Wszystkie były zakonserwowane i zadbane więc zbyt wiele roboty nie miał. Tylko tu i ówdzie trzeba było coś poprawić czy dokręcić. Wkrótce dołączył do niego Ron, który dość rozwlekale opowiadał mu o czekającym ich zadaniu i funkcji jaka przypadnie mechanikowi w udziale.

Kryjówkę opuścili około południa. Jeff jechał jakieś kilka metrów za motocyklem Rona, który bez wahania i przy dużej prędkości przemieszczał się w gąszczu głazów, rozwidleń i kaktusów. Było ciepło ale nie upalnie tak więc szybka jazda była czystą przyjemnością, wkrótce jednak musieli zsiąść z maszyn i mozolnie przekradać się przez wąskie rozpadliny skalne. Wreszcie po jakimś półgodzinnym marszu dostrzegli kilka niewielkich budynków przylegających do stromego, niemal pionowego wzniesienia i dodatkowo ogrodzonych drutem kolczastym zapewne niegdyś będącym pod napięciem. Owe zabudowania sądząc po licznych choć wyraźnie już przerdzewiałych adnotacjach o zakazie wstępu i fotografowania należały kiedyś do armii Stanów Zjednoczonych. Obecnie ich przeznaczenie było zgoła inne. Służyły jako magazyn prochów i baza ludzi, którzy nimi handlowali. Mechanik nie mógł dociec jakim cudem gangersi natrafili na ślad tych budynków. Miał już spytać Rona jak do tego doszło ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć jego kompan przykucał obok wielkiego odłamka skalnego i gestem nakazał by i Jeff zrobił to samo. Upewniwszy się, że mechanik zastosował się do polecenia wydobyl z futerału lornetkę i w milczeniu przypatrywał się zabudowaniom. Wokół panowała niemal zupełna cisza, tylko od strony budynków dobiegały przytłumione odgłosy rozmów.

- Musimy podejść bliżej - powiedział po długim milczeniu Ron - póki co dostrzegłem trzech strażników. Dwóch przy bramie i jednego, który chodzi wzdłuż ogrodzenia. Warto by teraz dowiedzieć się ilu jest ich wewnątrz.
- Wybacz, że pytam ale jak niby chcesz to sprawdzić? Przecież nie wejdziemy i nie spytamy ich o to.
- Oczywiście, że nie. Ale obserwując otoczenie może będziemy mogli wyciągnąć jakieś wnioski.
- Chodzi ci o to by spróbować zauważyć ślady wskazujące liczebność załogi takie jak ubrania czy pościel?
- Dokładnie tak - odparł pogodnie gangers - Widzę, że szybko łapiesz o co w tym wszystkim chodzi. Ja spróbuję podejść bliżej a ty obserwuj teren by w razie potrzeby przyjść mi z

pomocą.

Ron położył się na ziemi i prawie bezszelestnie zaczął pełzać w kierunku obszernego dołu będącego najprawdopodobniej lejem po bombie o znacznej sile rażenia. Jego brązowo-szare ubranie przysypane w dodatku kurzem zlewało się z otoczeniem tak, że wkrótce nawet Jeff stracił go z oczu. Obserwował więc pobliskie zabudowania zastanawiając się w jaki to niby sposób będzie mógł pomóc kompanowi jeśli zaszłaby taka potrzeba. Póki co taka nie nadchodziła a mechanik z coraz większym znużeniem wpatrywał się w dal. Tymczasem Ron dotarł już do celu i wychylając się lekko lustrował cel ich przyszłej akcji. Wyglądało na to, że poza tymi trzema strażnikami w obozie może przebywać maksymalnie jeszcze cztery inne osoby. Spośród trzech budynków dwa z pewnością były magazynami gdyż poprzez niewielkie, prostokątne okienka widać było sterty tekturowych kartonów, drewnianych skrzynek i rozmaitych beczek. Ostatnie pomieszczenie musiało być budynkiem mieszkalnym. W oknie wisiała nawet poźółkła firanka a wewnątrz Ron dostrzegł piętrowe łóżko. Sądząc po wielkości budynku składał się on z dwóch lub może trzech pokoi. Jeden z nich musiał być kuchnią bądź jadalnią. Dwie sypialnie a więc na stałe mogło tu przebywać nie więcej niż sześć osób. Możliwe jednak było iż budynki posiadają podziemne schrony które także można było zaadoptować na różnorakie potrzeby. Ron wątpił jednak by handlarze narkotyków uważali za słuszne utrzymywać tak liczny posterunek, tym bardziej, że baza była położona w trudno dostępnym miejscu i tylko przypadek zdecydował, że została odkryta. Gangersów było sześciu więc przy wykorzystaniu elementu zaskoczenia i dobrym planie walki akcja powinna przebiec w miarę gładko. Pozostawało więc jeszcze tylko zbadać w jaki sposób można by dostać się najbliżej bazy i pozostać niezauważonym.

Jeff po krótkotrwałym letargu ocknął się i gdy wrócił do niego Ron wspólnie zbadali okolice. Sytuacja wyglądała dość dobrze. Cały teren pokryty był mnóstwem różnorakich kamieni i odłamków skalnych tak, że można było się podczołgać prawie pod samo ogrodzenie. Do doliny prowadziły dwie drogi: jedna to była ta którą przyszedli a druga to dawna droga samochodowa prowadząca do tego posterunku wojskowego. Handlarze korzystali jak wskazywały na to ślady wyłącznie z tej drugiej dzięki czemu bez obaw, że zostanie się zauważonym można było korzystać z pierwszej. Jedyнным rozczarowaniem było to, że wspięcie się na górę do której przylegał obóz było ze względu na jej stromość niemal niemożliwe.

Motocykle tak jak je zostawili stały w niewielkiej, naturalnej grocie. Jeff nie przypuszczał by ktokolwiek podróżował tą drogą więc nie było obawy, że mogłyby zostać skradzione. Środki ostrożności były Ronowi jednak tak głęboko wpojone, że tego typu czynności jak kamuflaż pozostawionych pojazdów wykonywał właściwie mechanicznie i jakby bezwiednie. Dodatkowym plusem tego był fakt, że motocykle pozostawione na słońcu byłyby w tej chwili niemiłosiernie nagrzane a ich pojazdy pozostawały przyjemnie chłodne.

Gdy wrócili do bazy ich kompani pogrążeni byli w rutynowych czynnościach, jakie wykonuje się przed tego typu akcjami. Czyścili broń, sprawdzali odzież ochronną, pakowali niezbędny sprzęt. Gdy tylko zwiadowcy weszli do głównej sali Jack wziął ich do siebie by zdali relację z poczynionych obserwacji. Słyszając pomyślne nowiny dowódca gangersów wyraźnie się rozpogodził, ostatecznie wyzbywając się wątpliwości co do możliwych zakończeń jutrzejszej wyprawy. Ron także zdawał się być pewien zwycięstwa i swoim optymizmem зараżał przyjaciół.

Wszystkich z wyjątkiem Jeffa. Mechanikowi gdy dołączył do gangersów zdawało się, że wszystkie problemy pozostawił za sobą. Do tej pory swoje znużenie i frustrację utożsamiał z miejscem gdzie mieszkał, ludźmi z którymi żył i czynnościami które wykonywał. Myślał, że jeśli wszystko to pozostawi za sobą będzie mógł zacząć nowe życie. W tej chwili jednak czuł, że coś jest nie tak. Właściwie od samego początku polubił nowych kompanów, szczególnie Rona,

zadania które przyszło mu wykonywać także były ciekawsze od dotychczasowych. Był tylko jeden problem: dalej czuł się znudzony i nie widział sensu w tym co przyszło mu robić. No bo jaki był tego sens. Dalej musiał walczyć o byt z tą tylko jedną różnicą, że teraz ta walka miała odbywać się kosztem innych ludzi. Nie cieszyła go ta perspektywa. Wiedział, że tak będzie ale jakoś to do niego nie docierało. Nawet jeszcze dziś rano gdy rozmawiał z Jackiem wydawało mu się, że to nie będzie mu przeszkadzać. Teraz gdy miał chwilę zasłużonego odpoczynku i możliwość spokojnego zebrania myśli perspektywa walki przerażała go. Własne życie obchodziło go coraz mniej ale jakimś niezrozumiałym lękiem przepęłniała go myśl, że będzie musiał zabijać innych. Być może wyrachowanych kryminalistów ale być może zwykłych, niewinnych ludzi. Jeff zaczął uświadamiać sobie, że przyczyna jego znudzenia musi tkwić gdzieś w nim samym. Nie wiedział tylko jak ją znaleźć i... czy w ogóle warto ją szukać. Czuł się jak mucha złapana w pajęczą sieć, która może jeszcze przez jakiś czas toczyć beznadziejną walkę o przetrwanie ale prędzej czy później musi ulec. Później czy później i tak zgaśnie jak wąty płomień świecy gaśnie na wietrze. Przypominał sobie swoje ostatnie rozważania na ten temat. Wtedy gardził samobójstwem. Teraz... teraz myślał że trzeba wiedzieć kiedy odejść i że trzeba to zrobić z godnością. Po co czekać aż zbląkana kula położy wreszcie kres monotonnemu życiu. Bał się. Bał się tak jak jeszcze nigdy wcześniej. Z ponurych myśli wyrwał go Ron mówiąc, że przed akcją dobrze by było wrócić po rzeczy do Brighton.

Do miasta dotarli około trzeciej po południu. Ulice jak zwykle o tej porze świeciły pustkami a okna domostw przysłonięte były ciemnymi zasłonami. Większości mieszkańców i tak nie było teraz w domu. Cześć pracowała na polach poza miastem, część piła w którymś z barów a pozostali nie robili najprawdopodobniej nic. Zatrzymali się przed domem Jeffa. Mechanik zabrał wszystkie potrzebne mu narzędzia i części z garażu a następnie wszedł do domu by spakować swoje pozostałe rzeczy. Gdy wchodził po schodach wspomnienia odżywały na nowo. Chociaż ostatnio był tu zaledwie kilka dni temu miał wrażenie, że od tamtych chwil dzieli go długie lata. Przyspieszył kroku nie chcąc niepotrzebnie przedłużać swojego pobytu w obrzydłym mu już teraz do cna miejscu. Sam nie wiedział dlaczego własny dom tak bardzo go irytuje. Było to całkowicie irracjonalne. „Przecież nie było tak źle” myślał sobie próbując nadać własnym myślom odrobinę logiczności. Bezskutecznie. Co go aż tak bardzo odpychało od dotychczasowego życia? Samotność w której był pogrążony? Monotonia? Nie wiedział co to było ale gdy z powrotem wyszedł na dobrze mu znana ulicę odetchnął z ulgą.

Po powrocie Jeff położył się pierwszy mając nadzieję, że noc przyniesie zapomnienie. Sen jednak nie chciał nadejść oddając pola lękom. Zamiast zapomnienia ciemność przynosiła obrazy z przeszłości nadając im nowe, niepokojące znaczenia. W końcu wszystko zlało się w jeden niespokojny sen. Gdy Jeff obudził się rano jedynym co z niego pamiętał było strome zbocze usiane martwymi ciałami. Nie wierzył w prorocze sny i nie wiedział do kogo należały martwe ciała ale wczorajszy niepokój przerodził się w dławiący strach.

Gdy słońce dopiero podnosiło się znad widnokregu szóstka motocyklistów mijała wysokie, przydrożne kaktusy. Nie minęła godzina a ci sami mężczyźni pieszo przemierzali kamieniste ścieżki wijące się pomiędzy dwoma niemal pionowymi ścianami skalnymi. Na przedzie szedł Rino z Jamsem, obaj ściskający w dłoniach karabiny. W środku znajdowali się Jack i Johnny. Pochód zamykali Ron oraz Jeff. Kiedy w oddali ujrzeli dach najwyższego z budynków Jack zatrzymał pochód by po raz ostatni przypomnieć wyznaczone każdemu zadania. Wszystko zdawało się być zapięte na ostatni guzik. Rino i James zajęli miejsca na prawym skrzydle tuż obok pionowej ściany do której przylegał obóz. Ron i Jack mieli przycziąć się na wprost głównej bramy. Johnny uzbrojony w snajperkę przykucnął za wysokim blokiem skalnym skąd widział większą część bazy. Jeffowi przypadło w udziale centrum. Miał przede wszystkim ubezpieczać

przyjaciół gdy ci będą zdobywać główną bramę.

Gdy Jack dał sygnał do rozpoczęcia działań wszyscy byli już na swoich pozycjach. Johnny nie spiesząc się podniósł karabin, odbezpieczył go i wziął na cel jednego z dwóch strażników stojących przy bramie. Każdy ruch ćwiczył wielokrotnie, nie zastanawiał się co robić, po prostu działał. Gdy twarz wartownika znalazła się dokładnie na środku linii wyznaczających tor lotu pocisku pewnym ruchem palca pociągnął za spust. Nim odgłos wystrzału zwielokrotniony przez echo wypełnił dolinę najemnik targany konwulsjami leżał w kałuży własnej krwi. Jego kompan odruchowo przykucnął za betonowym słupem będącym niegdyś jednym z fragmentów ogrodzenia. Pokrzykiwał coś nerwowo rozglądając się wokoło. W tym czasie Johnny jednak nie próżnował, nie minęło pięć sekund nim wziął na cel drugiego strażnika. Jeff usłyszał kolejny wystrzał a strażnik runął na ziemię krzycząc przeraźliwie. Jednocześnie na prawym skrzydle toczyła się zjadła wymiana ognia. Jack wraz z Ronem dotarli już do głównej bramy lustrując teren dzielący ich od budynku mieszkalnego. Nie dostrzegając nikogo pospiesznie dobiegli do ściany budynku. Jack kolbą karabinu wybił szybę w niewielkim oknie domu po czym wrzucił do środka granat własnej konstrukcji. Huk jego wybuchu zlał się z brzękiem tłuczonego szkła i ludzkim krzykiem. Poruszali się ostrożnie wzdłuż ścian budynku cały czas rozglądając się wokoło. Gdy dotarli do drzwi, zza magazynów wychylił się Rino znakami pokazując, że teren jest już oczyszczony. Jack nie czekając na nich silnym kopniakiem otworzył drzwi i ubezpieczony przez Rona wbiegł do środka. Wewnątrz budynku nie było już nikogo żywego, na podłodze leżały dwa rozerwane wybuchem granatu ciała naszpikowane metalowymi odłamkami. Ron z trudem pohamował odruchy wymiotne. Powietrze wypełniał smród spalonych włosów i krwi. Gdy oni przeszukiwali pozostałe pomieszczenia reszta gangersów sprawdzała zawartość magazynów pakując pospiesznie do plecaków wszystko to, co przedstawiało jakąś wartość. Zgodnie z przewidywaniami pomieszczenia te pełne były narkotyków o przypuszczalnie ogromnej wartości. Poza nimi sporo było innych znacznie mniej kosztownych towarów takich jak części zamienne do samochodów czy żywność. Te zostawiali na swoich miejscach. Jeff który nie brał bezpośredniego udziału w walkach z pełnym zaangażowaniem pomagał kolegom. Wkrótce wszyscy mieli plecaki pełne towaru. Ciała poległych zebrano do budynku mieszkalnego którego wnętrze polano benzyną i podpalono. Musiało to wystarczyć im jako pochówek. Jack ponaglał przyjaciół obawiając się, że jakimś cudem ktoś mógł ich widzieć i wkrótce przybędą posiłki. Wszystko poszło zbyt sprawnie, to był zły znak.

Gdy opuszczali już teren bazy usłyszeli warkot silników. Kilka motocykli i przynajmniej jeden samochód. Były dość blisko choć jeszcze ich nie widzieli. Gangersi biegli przed siebie by jak najszybciej schronić się za kamieniami. Pościg był już jednak tuż tuż. Widząc palący się budynek handlarze narkotyków i ich najemnicy szybko zorientowali się, że napastnicy mogli uciec tylko jedną drogą. Na szczęście wąskie, wyboiste ścieżki nie nadawały się do jazdy nawet terenowym motocyklem. Najemników było jednak zbyt dużo by próbować z nimi walczyć. Jedynym wyjściem było jak najszybsze dotarcie do zostawionych koło drogi pojazdów. Wtedy pozostawiliby pościg daleko w tyle. Oczywiście nie wykluczone było, że handlarze znają i to przejście i na jego końcu będzie już ktoś na nich czekał. Póki co woleli jednak o tym nie myśleć, tym bardziej, że co chwilę nad ich głowami świstały kule wystrzeliwywane na ślepo przez ścigających ich strażników. Mimo, iż obarczeni znacznym ciężarem gangersi utrzymywali bezpieczny dystans od depczącego im po piętach pościgu. Gdy wreszcie dobiegli do jaskini, w której pozostawili motocykle Jeff z trudem łapał oddech a serce łomotało mu w piersiach z zatrważającą prędkością. Niemalże w biegu odpalili maszyny i wyjechali na drogę. Wyglądało na to, że już po wszystkim. Jadący na przedzie Jack odwrócił się do kompanów by pogratulować im udanej misji, jednak gdy spojrzął w tył uśmiech momentalnie zniknął z jego twarzy.

Gwałtownie przyspieszył i przekrzykując ryk motorów rozkazał kompanom zrobić to samo. Nie trzeba było im tego dwa razy powtarzać. Widzieli w lusterkach około dziesięć motocykli pędzących z wielką prędkością, nie miał pojęcia skąd się tutaj wzięli ale nie było teraz czasu na rozmyślanie. Nie musieli to być ścigający ich handlarze ale nic innego nie przychodziło im w tej chwili do głowy. Zresztą słusznie bo wcale się nie pomylili. Jeff co chwila nerwowo spoglądał za siebie. Miał wrażenie, że dzielący ich dystans maleje z sekundy na sekundę. Mechanik dodał gazu ale jego motocykl nie był już w stanie jechać szybciej. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Jeszcze kilka minut i pościg ich dogoni. Widząc to Ron zrównał się z Jeffem i ruchem głowy wskazał, że na najbliższym rozwidleniu skręcają w lewo. Mechanik nie dostrzegał żadnych bocznych dróg ale gdy Ron, który zdążył go już trochę wyprzedzić skręcił w bok, Jeff natychmiast poszedł w ślady kolegi, to samo uczynił James. Pozostali pojechali prosto. Ten manewr zwiększał ich szanse, prawdopodobieństwo, że zgubią pościg na bezdrożach było nieporównywalnie większe niż na autostradzie. Najemnicy nie rezygnowali jednak. Także rozdzielili się na dwie grupy. Teraz na przedzie jechał Ron. Jeff nie mógł wyjść z podziwu jak bezbłędnie ten chłopak odnajduje właściwą drogę pomiędzy skałami zalegającymi ten teren. Jednak grupę pościgową musiał prowadzić także doświadczony człowiek. Co prawda teraz już nie zmniejszali odległości dzielącej ich od gangersów ale nie tracili z nimi kontaktu wzrokowego. Mimo iż jechali już trochę wolniej musieli utrzymywać maksymalną koncentrację. Jak wiele kosztować mógł jej brak pokazywał przykład jednego z najemników. Znużony przedłużającą się jazdą postanowił wreszcie zakończyć zmagania. Jadąc na pełnej prędkości wkrótce wysforował się na przód i był już blisko Jeffa. Nie zdołał jednak opanować maszyny gdy wchodził w ostry zakręt. Motocykl przekoziołkował kilka razy nim ostatecznie eksplodował uderzając o skałę. Pozostało jeszcze czterech. Tamci jednak nie przejawiali ochoty do szarży tym bardziej po tym co stało się z jednym z nich.

Handlarze tracili już powoli nadzieję na sukces, która jednak natychmiast powróciła gdy ujrzeli to o czym Ron wiedział od samego początku. Droga, po której jechali już wkrótce przechodziła w stromą ścieżkę wijącą w górę zbocza. Gangersi zdołali jednak wypracować na tyle dużą przewagę by zostawiwszy motocykle zdołać ukryć się pomiędzy skałą, w większości zeszlą i spaloną roślinnością porastającą zbocze. O to właśnie chodziło. Teraz mieli szansę na pokonanie najemników. Nim ci zdali sobie sprawę z zaistniałej sytuacji trójka uciekinierów razila już ich karabinowym ogniem. Najemnicy wkrótce także zajęli pozycje strzeleckie ale w między czasie James zdołał trafić jednego z nich w brzuch. Młody chłopak padł na ziemię by już nigdy się z niej nie podnieść. Żaden z jego współników nie pospieszył mu z pomocą pozwalając by ten wykrwawił się na śmierć. Pozostali trzej motocykliści razili gangersów nieustającymi strzałami. Byli znacznie lepiej wyposażeni i bez wątplenia lepiej wyszkoleni. James właśnie przeładowywał magazynek gdy tuż pod nogi wpadł mu granat. Natychmiast chwycił go by odrzucić jak najdalej od siebie. Spóźnił się o dwie sekundy. Wybuch nastąpił gdy gangers wypuszczał go z ręki ciskając nim w stronę napastników. Widząc co stało się z przyjacielem Jeff natychmiast odwrócił wzrok ściskając mocno broń w rękę by choć trochę wyładować targające nim obrzydzenie i przybierającą na sile nienawiść.

Coraz silniej ostrzeliwani gangersi wycofywali się w górę zbocza, coraz rzadziej odpowiadając strzałami gdyż zapas amunicji gwałtownie się kurczył. Napastnicy raczej nie mieli tego problemu gdyż niemal ani na chwilę nie przerywali ataków. Podchodzili coraz bliżej ogniem zaporowym uniemożliwiając gangersom choćby wychylenie się zza kamieni. Gdy ostrzał ucichł na kilka chwil Ron z bronią przygotowaną do strzału wyjrzał spoza kamienia. Około dziesięć metrów od niego młody mężczyzna z przerażoną miną szarpał zamek karabinu, który najwidoczniej odmówił posłuszeństwa w najgorszym z możliwych momentów. Ron machinalnie

pociągnął za spust. Krótka seria ścięła napastnika z nóg. W tym samym momencie w którym najemnik padał martwy, ogromny ból przeszył ramię Rona. Siła uderzenia była tak duża, że chłopak padł na ziemię wypuszczając broń z rąk. Jednak dzięki temu zniknął na chwilę z pola widzenia motocyklisty. Widząc to co zaszło Jeff zajmujący do tej pory bezpieczną kryjówkę, puścił się biegiem w dół zbocza. Kilka kul świsnęło mu koło głowy jakimś cudem w ostatniej chwili ją omijając. W parę sekund dobiegł do zakrwawionego i targanego silnymi drgawkami przyjaciela. W samą porę gdy stał już nad nim jeden z najemników przykładając pistolet do głowy by wymierzyć ostateczny cios. Jednak chwilę później to on sam martwy leżał obok nich. Jeff zapominając o tym, że pozostał jeszcze jeden przeciwnik drżącymi rękami począł opatrywać przyjaciela. Kula najprawdopodobniej przeszła płuco ale mechanik o tym nie myślał. Nie chciał wierzyć, że tak to się wszystko skończy. Ron próbował coś powiedzieć ale nie był w stanie. Cały drżał a jego twarz przybrała trupioblady kolor. Jedyne szare, spokojne oczy wskazywały, że pogodził się z losem. Patrząc na Jeffa skinął lekko głową żegnając przyjaciela. Oczy mechanika nabiegły łzami. Łamiącym się głosem powtarzał „Jeszcze nie czas. Nie odchodź. To miał być początek, nie koniec”. Nim Ron po raz ostatni zamknął oczy wyszeptał jeszcze: „Dla mnie to jest początek. Ale już nie w tym świecie. Żegnaj.” Jeff rozplakał się jak dziecko. Wciąż trzymał jeszcze ciepłą dłoń przyjaciela zraszając ją łzami. Nie zauważył jak ostatni z najemników zakrada się od tyłu. Nie zauważył jak celuje mu w głowę i jak pociąga za spust. Odzyskał świadomość dopiero wtedy gdy usłyszał wybuch i zdał sobie sprawę, że wciąż żyje. Odwrócił się patrząc na człowieka z zakrwawioną dłonią w której trzymał pistolet, broń przed chwilą eksplodowała mu w dłoni. Podniósł własny pistolet patrząc na bezbronnego napastnika z niepohamowaną nienawiścią. Nie usłyszał jak tamten krzyczy „Nie zabijaj!”. Myślał tylko o własnym bólu i stracie przyjaciela, który nadawał jego życiu jakikolwiek sens. Strzelił zaślepiony żądzą zemsty. Chwilę później ogarnęła go ciemność, upadł na ziemię. Poczul, że coś się kończy ale już nic nowego się nie zacznie. Gdy odzyskał świadomość jego duszę wypełniała pustka. Widział zbocze usiane ludzkimi ciałami, teraz potrafił już je rozpoznać. Leżeli na nim ścigający ich jeszcze do niedawna najemnicy, James i Ron, który odchodził na jego oczach. Nie było już nic, tylko pustka. Powoli wspinał się na szczyt wzgórza. Wiatr rozwiewał jego długie czarne włosy a z oczu wyzierała nicość. Stał na krawędzi urwiska patrząc na zachodzące słońce, które jakby odgadując wydarzenia kończącego się już dnia krwistoczerwonym blaskiem oświetliło pustynię. Jeff nie uświadamiał sobie jak długo przeleżał bez przytomności, jak długo błąkał się po zboczu. Jeszcze niedawno chciał rozpocząć nowe życie, teraz nie chciał już niczego. Patrzył tylko przed siebie tępym wzrokiem. Wszystkie myśli o życiu i śmierci odeszły w niepamięć. Nie liczyło się już nic, ani sposób w jaki umrze ani kiedy to nastąpi. Gdy odruchowo spojrzął na swoje dłonie zobaczył, że całe są mokre od krwi, wzdrygnął się na jej widok i poczul jak rodzi się w nim odraza do samego siebie. Rzeczywiście jej tam nie było, to tylko krwawe refleksy słońca spotęgowane przez chorą wyobraźnię sprawiały takie wrażenie. Spojrzął w dół przepaści nad którą się znajdował. Stał tak wpatrzony w drobny pustynny piasek jeszcze przez długi czas. O czym myślał nie sposób było odgadnąć. Nad wschodnim wybrzeżem zapadał zmierzch pogrążając wszystko w nieprzeniknionym mroku...

## Epilog

Gdy Jack, Rino i Johnny zgubiwszy wreszcie pościg dotarli do bazy nie było tam jeszcze nikogo. Nie spali całą noc czekając na przyjaciół. Nikt nie pojawił się jednak ani tej nocy ani następnej. Drugiego dnia ocalała trójka pojechała tam gdzie wcześniej się rozdzielili. Podążając

za śladami dotarli do zbocza na którym rozegrał się dramat ich kompanów. Odnaleziono ciała zarówno przyjaciół jak i najemników pochowali we wspólnym grobie. Nie znaleziono tylko ciała Jeff'a mimo tego, że szukano dokładnie i wytrwale. Nikt jednak nie spojrzął w przepaść nad którą stał on tego dnia. Czy był na jej dnie? Nikt tego nie wiedział. Jeśli tak, to był to tragiczny finał jego życia. Jeśli nie, to nowego życia o którym marzył mieć już nie będzie a wspomnienie tamtych chwil nie da mu już nigdy spokojnie zasnąć. Ci z pośród gangersów którzy przeżyli zmienili się nie do poznania. Porzucili swoje dotychczasowe życie raz na zawsze rozczarowując się krwawą wolnością. Osiedli w Brighton żyjąc nadzieją, że pewnego dnia świat się odmieni...

Findalander